

Felieton - Moja Polska

Jan Herman

Kot Schrödingera – czytamy w Pedii – to eksperyment myślowy, czasem określany mianem paradoksu, opublikowany w 1935 roku (za Hitlera!) przez austriackiego fizyka, Erwina Schrödingera, laureata Nagrody Nobla z dziedziny fizyki w roku 1933, w trzech częściach artykułu przeglądowego "Obecna sytuacja w mechanice kwantowej" ilustruje problem zastosowania interpretacji kopenhaskiej (Nielsa Bohra) mechaniki kwantowej w odniesieniu do obiektów makroskopowych. Eksperyment ten jest jednym z wielu pomysłów tworzenia „przekładni” ze świata obiektów nano (w skali atomowej) do świata makroskopowego (zbioru wielu elementów, opisywanego w kategoriach prawdopodobieństwa zdarzeń losowych). A teraz przetłumaczmy to z „naukowego” na „nasze”, na przykład PPS-owskie. Otóż dopóki jakiś proces nie zostanie dopięty na ostatni guzik (np. poprzez uchwałę-dekretację), to jego wynik jest co najwyżej przypuszczalny. Zatem my wszyscy, którzy debatujemy nad rozmaitymi wariantami – mamy obowiązek każdy z tych wariantów uważać za równorzędnie dopuszczalny (choć niektóre z nich są nam miłe, a inne nie). Jeśli myślimy magicznie i nasze „opcje” uważamy za „dokonane” przed decyzją (np. prawomocną) – to możemy się zdziwić i rozczarować, że stało się akurat to, czego nie braliśmy pod uwagę jako niemożliwe, nieuczciwe, niesłychane, bez sensu, zbyt arbitralne, itd.

PPS do niedawna (po 43 Kongresie) żył w świecie, w którym liczba członków wciąż malała, choć kiedy odchodzili jedni, to pojawiali się inni. Wszystko na poziomie – zaryzykujemy – liczonym w setkach osób. Taka skala zadowalała „starych” członków, do których zaliczam również tych ze stażem kilkunastoletnim, ale też „nowych”: grali oni w swoją skarłatą politykę mając w głowach, duszach, sercach i sumieniach, że są (oddzielając aktywnych od nieaktywnych, świadomych od nieświadomych, zaangażowanych od niezaangażowanych) – częścią bryły partyjnej o potencjale jednego promille (1 tysięcznej) pasjonarności (słowo wprowadzone do politycznego obiegu przez Lwa Gumilova).

I nagle coś się stało poza tą zahibernowaną wyobraźnią polityczną. Uśpione dotąd idee socjalizmu (albo przytłoczone PPR-owskim czy potem PRL-owskim kloszem) – zostały wybudzone z letargu. Dotąd – przypuśćmy – połowa nas pozostawała członkami, nawet aktywnymi, ale obciążonymi brakiem potencjału (imposybilizmem, estancamiento). Ktoś jednak spróbował jeszcze raz spróbować tego, czego próbowali Młodzi Socjaliści, czyli odzyskania witamin psycho-społecznych, ekstrahując je z tego, co „przyprawiali” tacy alchemicy jak Staszic, Abramowski i inni animatorzy samospełniających się marzeń. Powiedzmy, że prostym laborantem prowincjonalnej placówki okazał się Wojciech Konieczny. Każdego mogło „trafić”. Akurat on uruchomił tę właściwą, „nanocząstkę” pasjonarności psycho-społecznej. I to w czasach, kiedy w politycznej Polsce wszystko już było „dokończony”, a głównym lewakiem był „na stałe” technokratyczny, nomenklaturowy (nie-rynkowy) przedsiębiorca i rwacz, wyżej niż inni usytuowany w lewicowo zafiksowanym obrocie kadrowym. Nie spodobało się to (mniejsza o powody) jego „przybocznym”, więc sięgnęli na półkę zakurzoną imposybilizmem-estancamiento. Kropla pasjonarności spadła na grunt niczym kropla wody na zaschniętą od dziesięcioleci pustynię. Stała się NAGŁOŚĆ: z posuchy, z „niczego” zrodziły się rhizomalne kłącza, bujnymi merystemami rozsiewając dżunglę tam, gdzie jeszcze przed polityczną chwilą była pustynia. Na to zareagowały te wszystkie wyobraźnie, które już zafiksowały się na poziomie kilku

promille. Jakże to, nasze podwórko może i senne, zatęchłe, ale nasze, nie będzie nam tu ktoś z Częstochowy podlewał tego co na zawsze uschnięte! Nie będzie nam tu ktoś tworzył dżungli na naszej pustyni! Jeszcze się pogubimy, odpadniemy. Nasz kot Schrödingera, którego mieliśmy za ostatecznie martwego – zaczął szaleć po polskiej polityce. Był tu, tam, wszędzie! Znow stało się możliwe wszystko. A kot nabrał niezliczonych odcieni szarości i łapał myszy bez pamięci, bez kontroli reżimu uświęconego statutami.

Nasza reakcja jest psychologicznie zrozumiała: ucapić kocura, wstrzyknąć mu antydepresant, relanium, cokolwiek, uczynić na powrót przewidywalnym, oswojonym. Fraktalnym, poukładanym, nieprędkim.

Zasługą Koniecznego jest nasze przekleństwo: wpuszczenie do PPS kota. Tym samym wpuszczenie twórczego nieładu do naszego grajdoła kilkuset pojedynczych promille. Kiedyś go pewnie za to powiesimy. Ale jak na razie reagujemy rozpaczliwymi, kłótliwymi egzaltacjami, nie pamiętając o tym, po co Bóg stworzył partię socjalistyczną. A stworzył ją nie dla naszej spokojnej egzystencji (młodziśmy, a jakoby emeryci) w przewidywalnym mikroświatku, tylko byśmy pogłupieli od nadmiaru potencjalnych możliwości, by nas przytłoczyła pasjonarność ludzi nam nieznanych: z góry wiemy, że ONI są przeciw nam.

* * *

Próbuję odczytać los kota Schrödingera. Oswoimy go czy ukatrupimy...? Powtórzę: nasza zaletargowana rzeczywistość była letnia i umiarkowana, ale ledwo żywa. Ledwo ciepła. A tu strzelił piorun pasjonarny i nam rozpirzył wszystko co znaliśmy. No, dobra, powieśmy Koniecznego, bo potrafił coś, co narobiło hałasu. Potłukł „puszkę z Pandorą”. Bo nie jest „wzorcowym” dla nas socjalistą (my jesteśmy wszak z łaski bożej stróże wzorca), bo kuma się z „odpadami Czarzastego”. Żywiłem nam na tyle obcym, beznadziejnym, że nie będziemy go po próżnicy wychowywać na socjalizm. Nas ktoś wychował, jak umiał, ale innym już wara od tego co nasze, zaklepane! My, to dopiero-śmy coś tchnącego dumą!!! Tyle że kot już szaleje, strąca misternie poustawianą porcelanę, podpala firanki, drapie boleśnie wszystkich i wszystko. Zdziczał. Ot co.

Nie ma życia bez gnicia (to wyniosłem z lekcji biologii w liceum, od „profesora” przezywanego Meduzą). On wyganiał nas późną wiosną z klasy na ogrody-łąki i kazał rozpoznawać rośliny za pomocą podręcznikowego „klucza do oznaczania roślin”. A te rośliny sobie rosły bez nas, bez fraktalnych reguł zamrażających wszystko, rhizomalnie (spontanicznie, bezładnie). Meduzy nie powiesiliśmy. Pewnie żyje do dziś. Spieszmy się więc powiesić Koniecznego, bo nam na pustyni sprowokował dżunglę, pełną pasjonarnych merystem. Oczywiście, mógł cichcem przemknąć przez życie, którego zaliczył połowę. Ale postawcie się w jego sytuacji: jeszcze chwilę temu był zaledwie radnym, który w spadku po druhu dostał mandat, a potem cudem złapał Pegaza za skrzydła i poszybował między senatory.

Uczyńmy mu nasze piekielko, potraktujmy go siarą. Uznajmy – wbrew fraktalom struktury PPS-owskiej, że niepotrzebna jest nam chwała Koła Parlamentarnego i pasjonarne, samouczące się merystemy „odpadów” socjal-liberalnych. Nie będzie nam Konieczny ustawiał mebli w naszym grajdole, bo on żaden tam PPS-owiec, tylko nomenklaturszczyk Czarzastego!!! My to dopierośmy PPS-owcy! Żwawi, jurni, oblatani w Internetach!

* * *

Rzygać się chce. Sami mamy się za żywych i dynamicznych, ale wymagamy jak capiące staruchy, by wszystko wokół było stałe, rozpoznawalne. Zamiast z zainteresowaniem śledzić młodego, nie dającego się poskromić, rozbisurmanionego kota i zaglądać wraz z nim w nieznane zakamarki, używając czasem „środków bezpośrednich”, zamiast oswajać go i przyswajać od nowa – wolimy głaskać starego, przewidywalnego, choć zdychającego sierściucha, mruczącego pod nasze dyktando.

Socjaliści-śmy! Godni co najwyżej oczekiwania na „pięćsetki” Kaczyńskiego. Ot co!

Jan Herman